

WPROWADZENIE

Trzymacie w dłoniach drugi tom przygód Kuby, jego siostry Agnieszki oraz towarzyszącej im grupy nietuzinkowych bohaterów!

Drugi...? Jak to drugi?!

Czyżby ktoś tutaj nie słyszał o *Schedzie Gigantów*? Sam, jako czytelnik, bywałem w podobnych tarapatach, rad bym więc pomknął z odświeżką, ale... *Scheda Gigantów* to książka z krwi i kości, przesiąknięta akcją po krańce kartek, przez co należy do tych historii, które opierają się streszczeniom.

Spróbujmy jednak, choćby momentami bolało!

Wiedźma Badb miała ochotę wytepić ludzkość na całej Ziemi. I prawie jej się to udało. Z miliardów człowieczych istnień ocalili jedynie mieszkańcy irlandzkiej prowincji Connacht. Dlaczego właśnie oni? Uratowali ich poprzedni mieszkańcy tej ziemi – giganci, oraz między innymi:

Kuba – osiemnastolatek, który przybył do Galway z Poznania, aby w towarzystwie przyjaciół, Krzysztofa oraz Pawła, zarobić trochę kasy;

Agnieszka – siostra bliźniaczka Kuby, wychowana w Irlandii, rodzeństwo bowiem, na polecenie bogini ożywionego świata Arduiny, rozdzielono w dzieciństwie. Dziewczyna zostałaznaczona na

królową skrzatów, a razem z bratem stanowią piąty element przyrody (kontrolują siły natury). Serce Agnieszki zdobywa...

...**Liam** – dzielny wojownik z Zaświatów, krainy będącej niejako drugą stroną ziemskiego padolu, gdzie trafiają dusze po śmierci ciał. W Zaświatach przebywają również Fennidzi (dezterterzy z żołnierskich farm), toczący wieczne spory bogowie i półbogowie, wiedźmy, olbrzymy, wspomniane skrzaty, smoki oraz wszelkiej maści potwory, a czas płynie w niej... No prawie w ogóle nie płynie;

David – młodziutki bohater wiecznie rywalizujący z Liamem o miano najdzielniejszego;

Uathach – mistrzyni fechtunku, której nie należy wchodzić w drogę, chyba że jest się jej... ukochanym Kubą. Wraz z nią walczą po stronie dobra dwaj silni i niezwykle lojalni bracia;

Saorbhreathach – druid, przyszywany dziadek Kuby; to on odprawił rytuał nadający bliźniakom moc.

Zacne to grono stanęło na czele armii, aby rozgromić demoniczne wojska Badb. Wiedźma czuła się niepokonana, zabiła bowiem Dagdę, najważniejszego (choć niezbyt sympatycznego) boga Zaświatów, który grał na harfie kontrolował czas w dwuświecie. Rzeczywiście, do jej zwycięstwa było blisko, lecz demony to stwory, które nie potrafią nic ponad zabijanie. Kiedy zaś przeciw sile męstwo i moc nie wystarczą, trzeba posłużyć się sprytem, tego zaś ludziom nie brakuje...

Badb pada trupem, jej żołnierze giną.

Nasi bohaterowie – ci, którym dane było przeżyć wojnę – po chwilach radosnych uniesień w postaci podwójnych zaślubin postanawiają wyruszyć po Maczugę Śmierci, którą wiedźma powaliła Dagdę. Tym magicznym orężem można bowiem nie tylko zabić, ale i przywrócić pokonanemu życie.

Problem w tym, że Maczugę ukryto w kopcu nimf, siedzibie okrutnej Greine i jej równie niebezpiecznych sług, Banshee. Niestety,

wyprawa jest nieunikniona, bowiem królowa nimf zamierza nie tylko sięgnąć po władzę, ale pozbyć się z dwuświata wszystkich... mężczyzn.

Zapraszam zatem do lektury, chociaż obawiam się, że bez znajomości *Schedy Gigantów* natkniecie się na garstkę przeszkód.

Pozdrawiam,
Marek Zychła

PS. Ach, zapomniałbym! W pierwszym tomie pojawia się również Wtranżol Rachciach – postać, którą Czytelnicy (wraz z autorem) pokochali! To chomiczek, pragnący człowieczeństwa. Niestety, nie jest zbyt odważny, a na drodze do pełnej przemiany stoi właśnie... strach.

Brzmi śmiesznie? Oj, nie lekceważcie najmniejszych i miejcie się na baczności, bo teraz to dopiero Wtranżol Was zaskoczy!

PROLOG

Kilkanaście lat przed pokonaniem Badb

Plecy prostował dopiero wśród drzew, w ukochanym podpoznańskim lesie, gdzie nikomu niczego nie zasłaniał, gdzie nie czuł się samotny, jak wśród ludzi.

„Trzydzieści owocników wrośniaka, na pniaku, powierzchnia pierwsza świetlistej dąbrowy.” – Zanotował w zeszycie. Wydarł kawałek kartki i wraz z jednym z zebranych grzybów wrzucił do pustego pudełka po herbacie.

Po godzinie zapelnił kolejne pudełka, całą ich torbę. Podeszedł zadowolony z wykonanej pracy do najdorodniejszego z dębów i przejechał palcami po korze, rozmyślając nad jej właściwościami leczniczymi, o których niedawno czytał. Wyjął z plecaka kanapki z humusem, po czym nakruszył, odpakowując je z papieru – plastiku nie znosił, bo ten nie występował w naturze. Oparł się o pień, odetchnął świeżym powietrzem, kichnął, za co przeprosił, by na koniec rozpocząć konsumpcję.

– Więcej się nie zobaczymy. – Słowa przygluszył kolejny z kęsów. – Magisterka w zasadzie gotowa, niedługo spadnie śnieg i zakryje grzyby.

Jadł powoli, od tej pory w milczeniu. Po wszystkim zapiął plecak tym cholernym zacinającym się zamkiem (który dawno powinien nawoskować, co zrobiłby, gdyby nie ciągnęło go wiecznie do książek).

Na studenta czekały jeszcze dwie powierzchownie badawcze, czyli kolejne torby do zapelnienia. Miał nadzieję natknąć się na jakiś prawie chroniony gatunek, na chociażby powszechnego w wielkopolskich lasach ozorka dębowego, co podniosłoby wartość magisterki i nieznacznie zwiększyło szansę na późniejszy doktorat... Marzył sobie, również po nocach, o mikologicznych perelkach rzędu gwiazdy wieloporowej, bo jego kilkuletnie zbiory dorównywały poziomem odkrywczości diagnozie „problemów ze wzrokiem” u ślepeca.

Otrząsnął się z niepoprawnych marzeń, bo przecież nauka rządzi się jasno określonymi prawami i „wymaga cierpliwości” – co powtarzała mu promotorka! Zamierzał ruszyć dalej, jednak podcięty zanurkował w ściółkę po uszy. Poleżał chwilę, po czym ściągnął plecak z głowy. Podniósł się, otrzepał ubranie, na koniec rozpoczął poszukiwania utraconego trampka, nieróżniącego się kolorystycznie od otoczenia.

Student próbował nie myśleć o tym, jak wyglądają po upadku jego zbiory. Przypuszczał, że ludzkość poradzi sobie bez wiedzy na temat tego, co owocnikuje w listopadowym runie, lecz promotorka nie dorównywała ludzkości wyrozumiałością.

Okazało się, że but zahaczył o metalową obręcz zasypaną gnijącymi liśćmi. Wbrew pozorom wydobyć trampka przyszło z łatwością – równie gładko poszło ze stalową pułapką, nietkniętą przez rdzę.

Chłopak obejrzał przedmiot, po czym pogładził palcami po ptasiej ornamentacji (dominowały sokoly wraz z pustulkami, a na ptakach znalazł się tak samo dobrze jak na grzybach!), która ciągnęła się po obu stronach. Przeszedł go przyjemny, stalowo-chłodny dreszcz. Zażęknął za zimą skapaną w bieli, kiedy to może odsapnąć od tego zbieractwa.

Pierwsze płatki śniegu zmaterializowały się, zanim mrugnął. Leciały pionowo w dół, nie dając się opóźnić wiatrowi. Po chwili potężna śnieżycą uderzyła w chłopaka z siłą równą jego zdumieniu. Zapiał jesienną kurtkę, klnąc niezbyt siarczyście na stypendialną niedolę, przez którą nie stać go było na kupno samochodu czy chociażby zdezelowanego roweru ...

– Mogłoby przestać sypać – westchnął życzeniowo.

Podskoczył niezgrabnie, by uchronić się od smutnego losu przeszło dwumetrowego balwana. Wtedy ostatni z płatków opadł na trzymany w rękach przedmiot, by stopnieć pod zbaraniałym wzrokiem przyrodnika, który stał jeszcze przez następną minutę wryty w ziemię niczym jego przyjaciel dąb; wgąpiiony w naszyjnik, czy czym ten przedmiot faktycznie był.

– Poeksperymentujmy, a później zagramy w totka? – zapytał ornamentowaną stal.

Gdy odszedł, ponownie sypnęło śniegiem.



Dzielnica Junikowo przypominała rodzinne strony studenta, choć przeciętnemu Poznaniakowi trąciła wiochą. Chłopak wynajmował tam pokój z kuchnią, w którym spędzał noce, skoro w ciągu dnia włóczył się po lasach lub przesiadywał na uczelni. Nie cierpiał czterech ścian, telewizji, telefonów komórkowych (poza smartfonami z dostępem do Internetu).

Zebrane owocniki suszył na domowych parapetach, szafkach i kaloryferach, zanim te trafiały do uniwersyteckiego zielnika. Nawet pies właścicieli (pary staruszków, zamieszkujących piętro) zaakceptował pasję domownika oraz leśne zapachy – dla dobra czworonoga trujące okazy schły w kampusie, na parapecie w gabinecie promotorki.

Student wrócił z porannego spaceru w dobrym humorze, ponieważ zamierzał sprawdzić wyniki losowania wielomilionowego totka. Czekał z tym do niedzieli, bo uznał za zabawne święcić dzień święty w tak spektakularny sposób... Nie, już nie powątpiewał w metalowe znalezisko, bo fakty przyjmował takimi, jakimi były, a ten przedmiot potrafił zdziałać cuda.

Wpierw zaczął eksperymentować nieśmiało, ze strachem, z nadzieją na lepsze jutro, która ten strach niwelowała. Zaczął od razu w czwartek, po powrocie z lasu, kiedy to spadł pierwszy śnieg. Otworzył wtedy lodówkę i wyjął z niej ser, najstarszego bywalca górnej półki, który bardzo śmierdział... Za bardzo, nawet jak na ser. Poza tym pokrył się niebieską pleśnią, co pasuje do gorgonzoli, a nie do edamskiego z Tesco.

– Odśwież – poprosił to swoje dziwne (sam się z siebie w duchu podśmiewując), a słowo żółcią się stało!

Student porzucił na moment marzenia o świetlanej przyszłości, bo zareagował tak, jak zareagowałyby większość, czyli ucieczką. Wybiegł z mieszkania i wrócił dopiero po godzinie, kiedy jako tako ochłonął. Wystraszył się, bo co innego śnieg – który przecież mógł sobie zacząć czy przestawać padać, kiedy tylko przyszłaby mu na to ochota – albo brak wiatru w lesie, a co innego cuda ze spożywką!

Wciąż drżały mu dłonie i podbródek, a lewe oko wpadło w nerwowy tik, na który nie pomagało nawet zaciskanie powiek.

– Pora na drugi test! – dodał sobie otuchy wykrzyknikiem, jak i naukowym charakterem poczynań.

Wkroczył do kuchni, sięgnął po torki i przeszedł z nim do sypialni, gdzie postanowił zamienić swoje mikologiczne zbiory w złoto.

Nie zadziałało, co nawet trochę chłopaka uspokoiło, bo znaczyło, że przedmiot ma jednak ograniczenia w tej swojej „magii”, przez co

idealnie nadaje się do badań! Bo przecież „magia” to również nauka, tylko posługująca się jeszcze nie odkrytymi przez uczonych prawami!

Okazało się, że parapetowym suszkiem można przywracać jedność – i odwrotnie – oraz, że można zamieniać jedne gatunki w drugie, czyli transformacja wchodziła w grę, jak i... drobne przesunięcia w czasie (tego drugiego student nie był jednak pewien, bo „odmładzanie” czy „postarzanie” zbiorów mogło równie dobrze podlegać pod pierwszy z wniosków).

– Twoje zdolności do zakrzywiania czasoprzestrzeni sprawdzimy przy okazji sobotniego totka – odezwał się do przedmiotu z czułością, która trochę go nawet zaniepokoiła, ale wołał udawaną czułość od panicznego strachu, poza tym nikt go tu przecież nie podsłuchiwał. – Dobry przedmiocik – błądził się na całego. – Kochany przedmiocik. Czyli co? Ma przedmiocik ochotę na jeszcze jeden eksperymentek?

Tork (bo tak w rzeczy samej zwał się przedmiocik) na szczęście nie odpowiedział, zdruzony wieloletnią bezczynnością w podpoznzańskich lasach. Tork słuchał, bo w tym był naprawdę dobry.

Magistrant chwycił długopis, kartkę papieru i zabrał się za wypisywanie cyfr, tłumacząc przedmiotowi szczegółowo zasady loterii. Zaczął od napisania jedyńki, która nie wyglądała jakoś szczególnie, dlatego przeszedł do dwójki. Tu również nic „nie drgnęło” (jak sam to określił), chłopak westchnął i bez przekonania machnął trójkę.

Machnął i zamarł.

– Ty weź mnie nie strasz... – jęknął, ale powstrzymał nogi od tchórzliwej ucieczki (powstrzymał perspektywę wygranej grubych milionów, jak i załączkiem przyjaźni, jaką tu między sobą wykuwali).

Trójka wyglądała idealnie, niczym wydrukowana, a przecież charakter pisma chłopaka nadawał się do studiowania medycyny. Czwórka, piątka i szóstka znowu wyszły mu jednak koślawe, przez co uspokoił się na tyle, by z tętnem poniżej stu uderzeń na minutę zabrać się za siódemkę.

– Czyli mamy trzy oraz siedem – wyciągnął wnioski, bo cyfra ta nawet zapachniała drukiem.

Kolejny raz stało się to przy dziesiątce, ale wtedy już wiedział, jakie kolejne liczby przygotowała dla niego obręcz. Spodobało mu się, że przedmiot tak dobrze zna się na matematyce i że łączy ich poczucie humoru, bo zanosilo się na przedni żart!

Tak, z kimś małomównym, a przy tym pomocnym i mądrym, chłopak z łatwością mógłby się zaprzyjaźnić. Podziękował dopisaniem kolejnych trzech liczb, oczywiście drukiem; mimo naukowego zaplecza potrafił zaakceptować „magiczność”, szczególnie pod postacią wielu zer poprzedzonych dowolną, inną od zera cyfrą. No i straszliwie dokuczala mu samotność, co często przydarza się geniuszom.

W piątek zakupił los i nie rozstawał się z nim aż do wspomnianej niedzieli, kiedy to wrócił do mieszkania ze wspomnianego spaceru. Wrócił, ściągnął kurtkę i buty, po czym odemknął podwójne okno, bo staruszkowie znowu zagalopowali się z grzaniem. Usiadł na łóżku i zatonął w lekturze powieści obyczajowej – w weekendy nie tykał botaniki, zoologii czy prowadzonych badań, chociaż i tak zwykle łądował na przechadzce po parku z nosem w ściółce.

W tym czasie ognisty seter irlandzki dał się pochłonąć ukochanej podwórkowej zabawie, czyli ściąganiu wywieszzonego przez gospodynię prania.

– Atos! – chłopak ryknął na psiaka, czym przywołał go do porządku, ale i odkleił się od fabuły „Nieśmiertelności” Kundery (nie zwrócił jednak uwagi na popielatego ptaka, który kołował po niebie w nadziei, że nikt mu nie zamknie okna).

Przeniósł się z powieścią na brzeg łóżka, odetchnął głęboko, po czym odpalił komórkę na stronie totolotka. Książka przegrała z przetrzymaną i tak do granic przyzwoitości ciekawością, więc wylądowała na poduszce.

Chłopak w wolnej dłoni ścisnął wydobytą właśnie spod koldry obręcz. Na kupon nie musiał spoglądać. Numery przecież doskonale znał.

Trzy, siedem, dziesięć, siedemnaście, dwadzieścia siedem i czterdzieści cztery¹ mogły spokojnie uchodzić za najszczęśliwszy uśmiech losu w kierunku kogoś tak oddanego nauce jak on. Student, w przypadku wygranej, miałby przednią anegdotę paranaukową do rzucenia promotorce w twarz, na pożegnanie... No i wierzył, że zainteresowałyby się tym nawet media! Krajowi przydałby się wreszcie jakiś rozgarnięty celebryta!

Rozmarzył się. Poblądził myślami po holach europejskich hoteli, gdzie sączyłby szampana z kryształowych kieliszków w towarzystwie kobiet, na których widok mężczyznom szklily się oczy (dotychczas pozwalał sobie co najwyżej na młodzieżowe schronisko z wielokrotnie odgrzewanym grzanym winem).

Otworzył oczy. Spojrzał na wyniki:

Trzy, siedem, dziesięć, siedemnaście, dwadzieścia siedem...

Wyrośnięty sokół wylądował na parapecie, rozwiewając zielnikowe zbiory i nadzieję na spokojne świętowanie.

...czterdzieści cztery.

Padające z ust chłopaka słowa zniesmaczyły sędziwego przybysza, który zdążył przybrać ludzką formę.

– Co to za maniry?! – druid skarcił nuworysza. Dodawał sobie powagi podniesionym głosem, lecz tracił jej o wiele więcej przez brak ubrań.

– Wieści o wygranej szybko się rozchodzą... – wybelkotał niedoszły magister.

Kapłan machnięciem dłoni stworzył iluzję spodni, czym jeszcze bardziej nastraszył gospodarza.

¹ Wariacja na temat ciągu Fibonnaciego, w którym każda z kolejnych liczb jest sumą dwóch ją poprzedzających (przyp. autora)

– Wysoki jesteś – stwierdził, co chłopak słyszał w życiu z tysiąc pięćset razy.

– Możemy się podzielić... – palnął.

– Przyszedłem odzyskać tork. – Saorbhreachach wskazał na stalowy przedmiot. – Zgubiłem go niedawno podczas pewnej ceremonii...

Przyrodnik, zadowolony z takiego obrotu sprawy, rzucił w stronę gościa żelastwem, bo przyjaźń przyjaźnią, ale złodziejem przecież nie był. Druid złapał tork z wprawą sportowca.

– Znalazłem to w dąbrowie. Nie wiedziałem, że należy do pana. – Strach trochę odpuścił, bo student od paru dni przywykł akceptować niewytłumaczalne, poza tym przypuszczał, że pewnego dnia ktoś się po przedmiot zjawi, bo tak się zawsze działo w fantastycznych powieściach. Miał nadzieję, że jednak później niż wcześniej...

Kapłan połączył fakty:

– Wysłuchał cię? – Saorbhreachach popatrzył przez okno na psa, samym tylko spojrzeniem powstrzymując biednego Atosa od wyglupów z praniem.

– W zasadzie to na niego wpadłem... A słuchać potrafi...

Staruszek przeniósł wzrok z półki z książkami. Większa część dywanu także została nimi zawalona. Woluminy piętrzyły się w stosach, w tematycznie wydzielonych miniwieżach.

– Lubię czytać... – wtrącił przyrodnik ciszej niż w bibliotece.

– Jak masz na imię, magistrze?

Druid sięgnął po najcięższy z atlasów grzybów, który spoczywał na honorowym miejscu przy biurkowej lampce. Wydany po niemiec-ku, z przepięknymi rycinami.

– Jarek, choć przyjaciele nazywają mnie... – Zreflektował się, nie kończąc zdania. – Pozostańmy przy: panie Jarku – zaproponował, po czym zajął się porozrzucanymi zbiorami, raczej machinalnie niż z potrzeby serca.

Zapraǳnął pozbyć się natrętnego gościa, po czym jak najszybciej spieniężyć kupon.

– Znalazłem w antykwariacie za grosze – opowiedział o wertyowanej przez staruszkę książce. – Ludzie wyprzedają takie skarby, byle mieć za co wypić. Swoją drogą, to mógł pan troszeczkę uważać.

Jarek nie znośił odkurzania, a bez tego się nie obejdzie. Czas poświęcony na porządki wolalby spędzać na lekturze.

– Zawsze robi się niewielki chaos przy lądowaniu... – wytłumaczył druid. – Podobnie przy samym starciu, tyle powiem.

Grubaśny podręcznik do histologii trafił w pomarszczone dłonie.

– Przerażające! – Kapłan odłożył tomisko. – I wy musicie takie rzeczy wkuwać?!

– Jakim znowu lądowaniu? – Jarek wychylił się przez okno.

Ogródek nie mógł pełnić roli lądowiska, przynajmniej zachowywawszy funkcje ogródka. Poza tym ryk większości silników nie bez powodu nazywano rykiem.

– Zwykle przepraszam wystarczy... – zaproponował, coraz mocniej przekonany o zaburzeniach w psychice gościa.

– Magistrze Jarku. – Mężczyzna odkleił się wreszcie od kolejnej specjalistycznej lektury. *Biologia komórki* wylądowała na twardych plecach.

Chłopak spróbował powstrzymać schlebające mu tytułowanie. Poczęstował gościa ciężkim akademickim żartem:

– Za miesiąc, jeśli profesorowie pozwolą...

– Mam propozycję. – Druid od dawna poszukiwał kogoś, kogo posłuchałby uparty tork. Nawet Arduinna straciła nadzieję na ziszczanie się tej przepowiedni samych gigantów.

– Dziękuję, nie skorzystam, właśnie zacząłem sobie radzić. Nie będę pana zatrzymywał. – Skinął głową w stronę niedomkniętego okna. Po chwili, z przepraszającą miną, wskazał na solidne drewniane drzwi. – Swoją drogą iluzjoniści nie są zwolnieni od obowiązku

pukania. Tym bardziej ci ze skłonnością do ekshibicjonizmu. Rozumiem, że czymś takim trudno zablysnąć w „Mam talent”, ale jeśli wytnie pan z przedstawienia negliż, to kto...

– Bogini stworzyła cię do wyższych niż wyższe studia czy bogactwo celów. Czas ucieka, magistrze.

Jarek zaczął wymachiwać biletem do wygodnego jutra.

– O co panu chodzi?! Człowieku, nawet nie wiesz... – Student odpuścił sobie zwierzenia na rzecz kontrolowanej agresji: – Tyrałem nocki w marketach za niecałe cztery złote za godzinę...! Staram się nacieszyć wygraną! A boginie będą się do mnie w gołe kolejki ustawiać!

– *Time...* – szepnął mnich, czym spopielił największy ze skarbów gospodarza (przy okazji sparzył mu delikatne palce).

Młodzieniec zawył z podwójnego bólu.

– Skoncentruj się, proszę, na tym, co mówię, magistrze.

– Mój kupon?! – Łzy złości zapiekły mocniej od opuszek palców. – Proszę mnie zapewnić, że mieliśmy do czynienia z iluzją, że wciąż jestem bogaty.

Saorbhreathach zamienił się w sokoła. Jarek usiadł na starym tapczanie z półotwartą buzią. Powrotna przemiana gościa nie uspokoiła chłopaka, tym bardziej że starzec pobyl się iluzji ubrań.

– Dlaczego...? – wyszeptał pokonany student.

– Rozmawiasz z kapłanem Arduinny, tyle powiem. – Starzec usiadł obok zdruzgotanego naukowca. – Od dzisiaj nazywaj mnie mentorem.

– Mam mentora, promotora na uczelni, znaczy się. – Jarek słyszał o lowcach talentów. Sądził jednak, że posługują się subtelniejszymi metodami perswazji. Uchylił się zwinnie przed pomarszczoną ręką, która zdążyła do pocieszającego objęcia.

– Zamknij oczy, Jarku – poprosił kapłan. – Zostańmy przyjaciółmi.

– Jeszcze czego?! – Biolog zaslonił się książką.
– Pójdź ze mną, a jeszcze mi podziękujesz. Erudycja – druid wskazał palcem na trzymaną jako tarczę powieść – potrafi ocalić świat!
Jarek spojrzal na książkę, na żółto-niebieską okładkę.

– *Nieśmiertelność* Kundery? – zapytał całkiem już skolowany.

Mędrzec wyglądał na solidnie poddenerwowanego, czyli w zasadzie jak zwykle.

– Przestań! – Wyrwał chłopakowi przedmiot z ręki. – To przenośnia.

– Nigdzie z panem nie idę! Mam zobowiązania, karierę...

– Zamknij! Wreszcie! Te! Oczywiście! Inaczej nie zrozumiesz. Zaznasz przygód, które leżą daleko poza zasięgiem najmąjniejszych ludzi świata! Oferuję ci podróż oraz wiedzę zawstydzającą profesorów. Kompletną wiedzę ludzkości!

Zawstydzanie profesorów jak nic leżało w zainteresowaniach studentach, jak i w marzeniach, planach, w tych okraszonych złośliwością przyjemnościach, o których śnimy po nocach.

Student w dalszym ciągu zdawał się być nieprzekonanym.

– Widziałeś, co potrafię, tyle powiem, i dobrze wiesz, że z iluzją miało to tyle samo wspólnego, co z melorecytacją. A jeśli zaufanie mi, obcemu i dość ekscentrycznemu staruszkowi bez portek, przychodzi ci z trudem, to przypomnij sobie o torqu, o jego niemalże nieograniczonych właściwościach, które niestety pewnie właśnie... uległy przedawnieniu, skoro zostałeś odnaleziony, a ja przywołany tutaj użyciem magii. Masz umysł chłonny i otwarty. – Saorbhreathach przymknął na moment oczy, by porozumieć się z boginią. – Zapamiętujesz do dziewięćdziesięciu ośmiu procent tego, co przeczytasz, tyle wiem, więc powiem. – Przymknął ponownie oczy. – Agenezja ciała modzelowatego! – krzyknął, czym ponownie wytrącił Jarka z równowagi. – Arduinna usunęła

wiązki nerwów łączące obie półkule twojego mózgu, przy czym przemodelowała mózdzek! Niesamowite... – Stary druid szczerze pozazdrościł chłopakowi takiego umysłu.

– Jeśli nie na długo jedziemy – przelamał się wreszcie Jarek perspektywą przygód i traktowania z szacunkiem – to czy mogę zabrać ze sobą psa? Atos przesiaduje ciągle u mnie, właściciele ma w poważaniu. Przywiązaliśmy się do siebie.

Atos stanął w drzwiach. Trząsł się ze strachu, gotów był jednak bronić przyjaciela.

– Możesz, chociaż nieprędko wrócimy. W zamian zagadam Arduinę. Poproszę, żeby identyczna wizualnie, lecz mniej zwariowana kopia psiaka trafiła do staruszków. Ucieszą się, że ich pupil wreszcie przestał tak szaleć. A tobie odkupimy zwycięski loteryjny kupon, jeśli po wszystkim będziesz sobie jeszcze tego życzył.

Psisko wyczuło, że o nim mowa, dlatego wycofało się do kuchni, do oazy spokoju typowego czworonoga, gdzie zapachy – głównie te ze śmietnika – pomagają odegnać smutki. Tym razem zalatywało kojąco starym kotłem.

Jarek zamknął oczy i przestał się bać. Poznał Arduinę.



ROZDZIAŁ I

KLASZTOR ZAPOMNIENIA

*W klasztorze reguły miłosierdzia są tylko głoszone.
Elżbieta Cherezińska, Pasja według Einara*

Niedługo po przejściu Liama do Zaświatów

Druid Bec mac Dé – nauczyciel Liama z dzieciństwa – przechadzał się po klasztornych korytarzach z posępną, dość charakterystyczną dla siebie miną. Nie cieszyło go już nic, za to smucilo coraz więcej. Tęsknił za uczniem, którego nie pozwolono mu nawet poinformować o...

– Nikomu nie mówić o zaistniałej sytuacji! – syknął i kopnął świecznik, co nie było najlepszym pomysłem, ponieważ hałas wielokrotnie upadającego metalu zaalarmował braci. – Że też posłuchałem tak idiotycznej porady! Że też zaufałem bogini... Nie trawilem tej Boand od początku!

– Mistrzu?! – Pierwszy na miejsce dotarł brat Maurice (wyjątkowo wścibski druid, który zresztą zawsze i wszędzie docierał jako pierwszy). – Serio, serio, nie wypada mistrzowi...

– Wracajcie do piwnic! – rozkazał Bec mac Dé, bo za Maurice zebrała się grupka zakonników. – Do komnat! – ryknął, skoro ociągali się z posłuszeństwem.

Odbiegli, poszarzałymi szatami zamiatając kamienne podłogi. Brat Maurice nie dawał się jednak łatwo zbyć i pozostał na miejscu.

Według mnichów jego wścibskość należała do tych nietypowych, płynących z troski, a nie z podłego charakteru.

– Serio, przypomną sobie o nas – zapewnił bez wiary w to, co mówi. – Liam sobie o nas przypomni. Na tego chłopaka nie ma mocnych! Cokolwiek odcięło nas od reszty świata, zapłaci za to.

Już nawet zapomniałeś, kto za tym stoi, zmartwił się Bec mac Dé w myślach.

Stary druid spojrział młodszemu o wieki starszuskowi prosto w oczy:

– Zamierzałem umrzeć. Kiedy widziałem się z Liamem po raz ostatni, zamierzałem umrzeć. Tak postanowiłem, dzięki czemu straciłem czujność... Znalazłem kogoś, kto zaopiekuje się światem i pomoże Saorbhreachowi w bataliach ze złem. Uznałem, że czas opuścić tarczę... Umierać należy w spokoju, a nie w tak bestialski sposób odchodzić w zapomnienie.

– Przynajmniej cienie nas nie dopadły ani nie dopadła nas Badb... – Próby pocieszenia Maurice'a przypominały igranie z Ellenem Ognistym. – A może ktoś nas na serio ochrania? – zadal pytanie, które coraz częściej padało w komnatach.

Po tych słowach przelożony wręcz zapłonął gniewem.

– Nie stanęliśmy z wiedźmą do walki, bo nie potrafimy wyrwać się z tej pułapki! Pułapki, a nie ochrony, nawet jeśli w ochronę uwierzyła sama Arduinna! Utknęliśmy w klasztornych murach, gdzie miesiące niedługo połączą się w lata! Klasztor bije po kościach chłodem kamiennych serc, z których go zbudowano! Nie widzisz, że trafiliśmy do piekła?! Nie wyczuwasz niepamięci w wodzie?!

Maurice widział i trochę wyczuwał, ponieważ uwielbiał patrzeć, smakować, a przede wszystkim podsłuchiwać. Lubił też przebywać blisko władzy. Łudził się mimo to, bo nadzieja żywotnością przypominała jego rozmówcę.

– Próbowaliśmy zerwać więzy. – Młodszy zakonnik przypomniał sobie burzę zaklęć, podczas których stracili dach głównej komnaty oraz dwóch może i nie najbystrzejszych, za to ogólnie lubianych braci... – Bąbel, w którym tkwimy, wytrzymał, a rykoszetowało... Teraz musimy czekać. Serio, Arduinna...

– Czekaniem niczego nie wskóramy. – Bec mac Dé drażniła naiwność podopiecznego. – Utknęliśmy w podwójnej pułapce, w bańce czasu oraz w oparach zapomnienia. Dokonano wręcz cudu, o którym nawet po najmocniejszych ziołach by mi się nie śniło! Czas dla nas spowolnił, człowieku! Tak na momencik, by szybko wrócić do swojego biegu, w wyniku czego zostaliśmy o kilka sekund za resztą świata i w zasadzie dla nich nie istniejemy, skoro woda paruje i para leci do Galway... Wybuduj klasztor na studni! Na źródle mądrości! – zamarudził, wściekły na swoją naiwność sprzed wieków. – Wybuduj, a będę miała u was dług wdzięczności i pozwolę ci się z niej napić! Piekielna Boand i jej wilgotne sztuczki! Dobrze, że się nie napiłem...

– Kto posiadał aż takie moce? Komu by aż tak zależało? – Maurice zadał te pytania szybko, według Bec mac Dé aż nazbyt asekuracyjnie. – Z całym szacunkiem, ale opowiadasz bajki, mistrzu. Boand zła? Bzdury!

– Nie zasłynąłem z bajdurzenia – obruszył się starzec. – Mówię, jak jest. Nie wymagam wiary, lecz szacunku. Nazwij mnie jeszcze raz głupcem, choćby w najbarwniejszych słowach, a podzielisz los moich wrogów. Irytujesz mnie, chłopcze. Oby nie szło to u ciebie z wyrachowaniem...

Maurice oczywiście przeprosił. Oslaniał się długimi zdaniami, w których wychwalał rozmówcę pod niebiosa. Wreszcie dla bezpieczeństwa zmienił temat:

– A z niepamięcią to przesada? Nic zresztą nie pijesz, mistrzu... Unikasz kąpeli, aż bracia się skarżą...

– Z zapomnieniem – skorygował mistrz. – Niepamięć dopiero zakrada się w nasze mury, ale zapomnienie stanowi prawdziwe zagrożenie. Wyrwę nas najpierw z czasu, choćbym miał zginać. – Po tych słowach Bec mac Dé zauważył, jak kąciki ust Maurice’a drgnęły. – I jeśli jeszcze kiedyś ośmielisz się mi doradzać, to umrzesz. – Tak banalna groźba zabrzmiała srogo w ustach kogoś, kto od zawsze wiedział, co mówi. – Serio!

Zginę, przeszło mu przy okazji przez myśl. I o to komuś od początku chodziło! Dlatego mnie powstrzymali... A ten głupiec dwukrotnie został już przez mnie obrażony i dalej nie unosi się dumą...

– Bogini wody nakazała mi doradzać, skoro zdarza ci się dać ponieść wyobraźni... – Maurice wyczuł, że walczy o życie i od tej reakcji zależy więcej niż od setek lat służby w klasztorze. – Obiecała, że przybędzie z wyjaśnieniami, o ile pozostaniemy w ukryciu. Prosiła, abym miał na ciebie oko. Wolalbyś, żebym sprzeciwił się bogini, mistrzu? Przyjaciółce Arduinny, następczyni i ukochanej Dagdy? Kobiecie, dzięki której nasz klasztor potrafił pojawiać się i w Zaświatach?! Przecież opary ze studni nasycają nas wszystkich mądrością!

– Łżesz w temacie Arduinny. – Bec mac Dé złościł się najbardziej na siebie za tak późne odkrycie zdrajcy. – Z Arduinną nie mamy kontaktu, więc nie możemy sprawdzić, jak obie z przyjaźnią stoją! Ja nie mam, Liam nie ma, skoro tu jeszcze nie zawitał, to i do ciebie nie wyrzekła słowa. Kto wie, czy nie wpadła w podobną pułapkę...? – Ruszył wzdłuż korytarza, głośno myśląc, a przerażony zakonnik podążył mimowolnie za nim. – Mam swoje typy, zaskakująco wyraźne. Prominentów, którzy wisielei wiedźmie przysługę... Zabezpieczyła się, paskuda! Wylączyła nas sprytnie z gry, a przy tym ten ktoś upewnił się, czy w ogóle jest w stanie zaatakować klasztor... – Druid stanął; Maurice wpadł na niego, za co od razu przeprosił, chociaż poczuł, jakby odbił się od ściany. – Pracujesz dla

nimf czy dla samej Boand, pieprzonej bogini wody?! Te dwie najwidoczniej zawarły jakiś pakt albo zapragnęły podliznąć się Badb na wysokie prawdopodobieństwo jej wygranej! No mów, dla kogo pracujesz?! – Przycisnął podopiecznego wykrzyknikiem. – A może dla najczarniejszego zła?

– Będę walczył, paranoiku! – Maurice’owi głos drżał, drżały kolana i dłonie.

– Walcz, walcz, skoro postanowiłeś zdradzić. Walcz przed śmiercią, skoro żyłeś bez walki. Walcz!

Młodszy ze starców ze sprawnością lekkoatlety odskoczył na kilka metrów, po czym zaczął wyrzucać z siebie irlandzkie wyrazy. Palcami rysował w powietrzu symbole, jednak strach przed legendą zrobił swoje: Maurice nie dociągał linii, nie zamykał okręgów, spłaszczwał spirale. Z racji wieku sepleniał, co w gaelickim zmieniało sens zbyt wielu słów...

– Nawet Liam zrobiłby to lepiej – rzucił Bec mac Dé, wiatrem zdmuchując wystrzeliwane przez przeciwnika płomienie, serwując mu przy tym tę największą z klasztornych obelg.

I przeszedł do ataku. Palce lewej dłoni poruszały się szybciej od skrzydeł kolibra, nie tracąc przy tym nic a nic z dokładności. Płomień, który uderzył w zdrajcę, zawstydzilby nawet smoki. Obyło się bez słowa, tak precyzyjnie mistrz wyrysował symbole.

– Przepraszam cię, Saorbhreathachu – westchnął Bec mac Dé. – Prosiłeś, żebym zachował czujność. Z nadmiaru wrogów zapomniałem, że nóż w plecy wbijają fałszywi przyjaciele. Nie dopilnowałem studni... No i zapragnąłem śmierci. Uważaj, czego pragniesz, bo sen o Zaświatach się spełni...

Bec mac Dé martwił się o Saorbhreathacha, bo przeczuwał, że wojna dobiegła końca i namnożyła ofiar... Znali się na tyle długo, by nie usprawiedliwiać nieobecności starego sokoła zapomnieniem.

– Magia bogini wody Boand oraz Fioletowa Banshee od manipulowania czasoprzestrzenią – westchnął przed rozpoczęciem inkantacji. – Zemstę pozostawiam braciom.

Znowu westchnął, po czym podzielił się z kamiennym klasztorem ofiarowaną mu przez Arduinnę namiastką wieczności, a żył przecież tysiące lat... Należało obdarować kilkoma sekundami każdego z braci, cały kompleks klasztorny, ze wszystkimi zgromadzonymi drobinkami kurzu... atomami wszystkiego żywego i martwego w klasztornej przestrzeni.

W trakcie docenił kunszt Fioletowej Banshee, która zdołała ich wszystkich tak zgrabnie spowolnić i przesunąć względem reszty dwuświata. Bezblędność tego zabiegu strwożyła Bec mac Dé, bo świadczyła o potędze wroga.

Liamie, zemścij się za mnie, poprosił w ostatnich myślach.

Starzec wymłodniał (coraz mniej czasu pozostawało mu do podziału), aż wreszcie umarł w chwili, w której się narodził. Dopiero wtedy klasztor powrócił do teraźniejszości. Wyrwał się z bańki spowolnionego czasu, by znowu stać blisko cmentarza w Clonmacnoise, chociaż wciąż zapomniany przez ludzi.

Bracia wyczuli zmianę. Przybiegli na miejsce, gdzie znaleźli spopielonego Maurice'a oraz pustkę, która rozsiadła się im w sercach.

Pomodlili się wspólnie do Arduinny.

Bogini milczała.